

CZAS WZRASTANIA W PALIKÓWCE I RZESZOWIE

Jacek Krawczyk urodził się w Rzeszowie 16 sierpnia 1966 roku w rodzinie Anny i Tadeusza Krawczyków jako drugi syn, po śmierci swego starszego brata Tomasza, który żył tylko kilka miesięcy. Po kilku latach rodzice doczekali się kolejnego syna, Marcina. Cała rodzina mieszkała w domu rodzinnym w Palikówce w parafii Strażów. Rodzice pracowali w radiokomunikacji; ojciec zajmował stanowisko dyrektora. Rodzina była blisko związana z Kościołem, a pani Anna, uzdolniona artystycznie, namalowała obraz Matki Bożej, który został umieszczony w bocznym ołtarzu nowo wybudowanego kościoła w Palikówce, gdzie w roku 2000 powstała odrębna parafia. W domu panowała atmosfera miłości i pobożności. Duch modlitwy w domu w Palikówce wyrażał się w codziennym Apelu Jasnogórskim, który rodzina wiernie celebrowała. Warto podkreślić, że zachowywano też abstynencję od napojów alkoholowych i sprzeciwiano się podawaniu alkoholu.

Jacek był ciekawy świata i bardzo lubił przyrodę. Zachowując wrażliwość na żywe istoty, zaopiekował się małymi pisklakami, które wypadły z gniazda bocianów. Razem z ojcem zawiózł je do lecznicy dla zwierząt i opiekował się jednym z uratowanych pisklaków aż do czasu jego odlotu do ciepłych krajów. Wszędzie, gdzie mieszkał, dbał o to, by mieć w mieszkaniu ptaki, zwłaszcza kanarki i papugi. Zainteresowania ornitologiczne spowodowały, że wybrał klasę biologiczną

w ramach nauki w liceum. Został też wytypowany przez szkołę do współpracy z pracownikami Instytutu Biologii Środowiskowej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Podczas wakacji wyjeżdżał z nimi na wyprawy, by obserwować życie ptaków w ich naturalnym środowisku i pomagać w pogłębianiu wiedzy na temat różnych gatunków, zbierając dane potrzebne do opracowywania przejawów polskiej fauny powietrznej.

Uzdolniony muzycznie, uczył się gry na pianinie i flecie oraz słuchał muzyki, która rozwijała jego zmysł estetyczny i wrażliwość na piękno. Chętnie zajmował się dekorowaniem wnętrz i układaniem kompozycji kwiatowych. Miał dobrze rozwinięty zmysł estetyczny, który pogłębiał przez zapoznawanie się z dziełami sztuki. Odznaczał się ponadprzeciętną dojrzałością i wrażliwością na piękno i dobro. Był pasjonatem fotografii i z radością fotografował zachody słońca, które służyły jego mamie do malowania obrazów. Jacek bardzo lubił tańczyć oraz interesował się wydarzeniami kulturalnymi, chodził do filharmonii i teatru. Otwarty na innych, wrażliwy na sprawy drugiego człowieka, cieszył się życiem i pragnął je rozwijać, tak, by osiągnąć pełnię szczęścia dostępną tu na ziemi. Zarazem jednak miał poczucie niewystarczalności tego świata i już w okresie młodości przejawiał, niezrozumiale dla innych, zainteresowanie sprawami eschatologicznymi, które wyrażało się w układanych modlitwach i przemyśleniach w ramach osobistych zapisków.

Kiedy przygotowywał się do Pierwszej Komunii świętej, doznał rozległego oparzenia jednej nogi, tak że nie mógł chodzić i jego ojciec niósł go na rękach do ołtarza w kościele w Strażowie. Jacek wspominał po latach to wydarzenie w liście do ks. Nagórniego, wskazując, że jego życie od początku było

naznaczone cierpieniem, ale jednocześnie otoczone ogromną miłością, którą świadczyli mu jego rodzice. Rozważając tego typu wydarzenia, znajdował odpowiedź na pytania, dlaczego jego życie jest tak odmienne od innych. „Oparzyłem sobie wtedy nogę wrzątkiem i do Komunii ojciec niósł mnie na rękach (...). Po latach wiedziałem, dlaczego to wszystko tak się stało, choć na początku można było stawiać pytania. (...) I tak przez całe moje życie, przez studia, raz po raz nie rozumiałem wielu sytuacji, ale z ufnością szedłem do przodu, wiedząc, że za parę dni, może tygodni, będę mógł dostrzec Jego palec, delikatnie kierujący mną ku temu, co najlepsze”.

Wydarzeniem, które naznaczyło jego dzieciństwo była konieczność przeniesienia się do innej szkoły i dojeżdżanie pociągiem do ósmej klasy szkoły podstawowej w Rzeszowie. Było to spowodowane interwencją Tadeusza Krawczyka, taty Jacka, który - jako przewodniczący szkolnego komitetu rodzicielskiego - zwrócił uwagę nauczycielom, by na spotkaniach rodziców i nauczycieli powstrzymywali się od spożywania alkoholu. Nie podobalo się to nauczycielom i spowodowało zmianę ich postawy wobec młodego Krawczyka. Tę sytuację tak ujął Jacek w liście z grudnia 1990 roku do ks. prof. Janusza Nagórnego: „Ojcu nic nie można było zrobić, ale ja byłem w zasięgu ręki”. Rodzice, po interwencji w kuratorium oświaty w Rzeszowie, postanowili przenieść syna do innej szkoły. Jacek napisał o tym: „Gdybym nie został przez rodziców przeniesiony, nie miałbym szans nawet na lepszą zawodówkę”.

Nowe środowisko i konieczność dojeżdżania do odległej szkoły w mieście hartowały młodego człowieka i uczyły go mądrości krzyża. Nauczyciele w nowej szkole okazali się bardzo życzliwi i Jacek szybko zaaklimatyzował się w nowej

rzeczywistości. Nie dostał się jednak do wymarzonego liceum i rozpoczął naukę w II Liceum Ogólnokształcącym w Rzeszowie, prowadzonym pod patronatem Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Szkoła była określana mianem „czerwonej” z powodu nastawienia na wychowywanie młodzieży w duchu socjalizmu. Z drugiej zaś strony nazywano ją „klasztorem”, gdyż panowała w niej surowa dyscyplina. Poziom nauczania był jednak dość wysoki i dorównywał najlepszemu liceum w mieście. Jacek wybrał klasę o profilu biologicznym, gdyż na tym etapie marzył o studiach związanych z ornitologią.

Droga do szkoły wiodła z dworca kolejowego obok kościoła bernardynów, gdzie znajduje się cudowna figura Matki Bożej Rzeszowskiej. Jacek, przyjeżdżając wcześniej pociągiem do miasta, udawał się na modlitwę do tego kościoła i zostawał tam na porannej Mszy świętej. Zapoznawszy się bliżej z ks. Władysławem Czyżewskim, który odprawiał tam Msze święte, Jacek od grudnia 1981 roku został ministrantem i pogłębił swoją miłość do służby ołtarza. Nawiązał też serdeczną więź z o. Kolumbanem, który towarzyszył mu we wzrastaniu duchowym. Jacek spędzał z nim dużo czasu i rozmawiał na nurtujące go tematy. W ten sposób w sanktuarium Pani Rzeszowskiej pogłębiła się wiara młodzieńca z Palikówki, co on sam określił jako swoje „drugie nawrócenie”.

Podstawowym miejscem, poza rodziną i parafią, w których Jacek zdobywał wiedzę i pogłębiał wiarę, była szkolna katecheza, którą w owym czasie prowadził ks. Jan Nigborowicz. Młody chłopak z Palikówki wyróżniał się gorliwością w uczęszczaniu na nią i zapalem w podejmowaniu tematów religijnych. Nie tylko chętnie dyskutował z katechetą na temat wiary, ale też sam podejmował się zadania przygotowania obszernych opracowań z

zakresu teologii powołania kapłańskiego i misjologii, do których wykorzystywał dokumenty Kościoła i własne badania socjologiczne w postaci ankiet przeprowadzanych wśród kolegów i koleżanek. W ten sposób młodzieniec z Palikówki animował swoje środowisko i skłaniał swoich rówieśników do podejmowania refleksji nad zagadnieniami dotyczącymi życia Kościoła. Dowodem odczytania i głębi refleksji nad kwestiami wiary są Jackowe wypracowania na zakończenie poszczególnych lat katechezy.

W trakcie szkoły średniej zaczął uczęszczać na spotkania wspólnoty „Odrodzenie” działającej przy klasztorze ojców bernardynów. Przeżywał tam dni skupienia oraz wykłady formacyjne i wyjazdy na nocne czuwania na Jasną Górę, w których uczestniczył ze swoją mamą, która wcześniej włączyła się w życie tej wspólnoty i zachęcała do tego swego syna. Z tego też czasu pochodzi podtrzymywany później w rodzinie zwyczaj wspólnej modlitwy w godzinie Apelu Jasnogórskiego. W Rzeszowie Jacek rozpoczął swoją formację w ruchu oazowym. Choć nie do końca odpowiadała mu ta forma wspólnoty młodzieżowej, to właśnie dzięki oazie, w trakcie drugiego roku nauki w liceum, zaangażował się w pomoc osobom starszym w rzeszowskim Państwowym Domu Rencistów, co pozwoliło mu odkryć swoje powołanie do służenia chorym i potrzebującym.

Wspomniane wizyty w domu rencistów sprawiły, że Jacek czuł się bardzo potrzebny i potwierdził tam swoją pasję do pochylania się nad ludzką biedą. Organizował pensjonariuszom domu opieki nabożeństwa majowe, czerwcowe i październikowe. Wypożyczał książki i służył pomocą w załatwianiu różnych spraw. W zachowanym sprawozdaniu z zakresu podejmowanych działań znajdują się informacje o jego formach animowania życia

religijnego pensjonariuszy. W ramach ogłoszeń przypominał o nadchodzących obchodach uroczystości roku liturgicznego i przygotowywał swoich podopiecznych do przeżycia poszczególnych świąt. W tym celu w Wielkim Poście odprawiał z nimi Drogę Krzyżową, a podczas Triduum Paschalnego tłumaczył sens i przebieg liturgii tych dni. W tym okresie zachęcał rencistów do postu, modlitwy i jałmużny. Młody apostoł z Palikówki zapisywał podopiecznych domu rencistów do Rycerstwa Niepokalanej oraz zbierał ofiary na misje, które wysyłał do prokury misyjnej księży oblatów w Poznaniu. Rodzice, rozumiejąc pasję swojego syna, czekali na niego w domu rodzinnym z wieczerzą w wieczór przed Bożym Narodzeniem, gdyż Jacek organizował w domu rencistów wspólne dzielenie się opłatkiem i kołędowanie przy stole wigilijnym. Będąc apostołem wiary i aniołem dobroci, młody licealista z Palikówki stał się dla mieszkańców domu rencistów promieniem radości i ostoją nadziei.

Angażując się w pracę z ludźmi starszymi, Jacek był jednocześnie lubianym kolegą, włączającym się w życie wspólnoty klasowej. Wychowawczynie z klasy licealnej napisała o nim, że „wyróżniał się zaangażowaniem, chęcią ciągłego działania, służenia i pomagania innym; był bezinteresowny, koleżeński, odpowiedzialny za grupę, za zachowanie swoich kolegów i koleżanek”. Ksiądz Jan Nigborowicz z parafii Chrystusa Króla w Rzeszowie, gdzie Jacek uczęszczał na katechezę przez cztery lata szkoły średniej, w opinii przesłanej na KUL stwierdził, że Jacek z dużym zaangażowaniem uczęszczał na religię i swoją aktywnością ożywia całą klasę. Cechował się prostotą i łatwością nawiązywania kontaktów z ludźmi, co przekładało się na posiadanie licznych kolegów i chętnie angażowanie się w pomoc

innym.

Znamienne są w tym kontekście słowa młodzieńca z Palikówki, który, już z Lublina, w jednym z listów do rodziców napisał: „Moim jedynym marzeniem jest to, by stać się naprawdę człowiekiem. Wbrew pozorom nie jest to takie łatwe (por. Rdz 1,26). Bo być człowiekiem, to nie tylko głęboko jednoczyć się z Bogiem, ale być bratem dla każdego drugiego człowieka. (Celowo użyłem «drugiego», a nie «innego»). Być człowiekiem, to spieszyć z pomocą bez względu na to, kim on jest. Być człowiekiem, to wyniszczyć (dosłownie!) siebie w miłości Boga i ludzi”. Jacek podjął ten program życia i konsekwentnie dążył do rozwoju własnej osobowości w kierunku nauczania się ofiarnej miłości drugiemu.

Angażując się w życie społeczne, Jacek ujawniał swoje talenty organizacyjne i wykazywał się sporą pomysłowością w podejmowanych działaniach. Ks. Jan w prezentacji zachowania swego ucznia z katechezy napisał, że Jacek odznaczał się pracowitością, spokojem, rozważą, konkretnością życia i pełną dojrzałością. Pragnąc pomagać innym, podjął zadanie szerzenia idei Czerwonego Krzyża i promowania honorowego oddawania krwi. Traktując swoje działania szczerze i odpowiedzialnie, najpierw sam zaczął oddawać krew, a potem namówił swoich bliskich i następnie kolegów z klasy i znajomych. Określając swoją postawę w tym zakresie, zapisał w liście do rodziców następujące słowa: „Życie jest piękne, ale każdy człowiek też chce żyć. Może idee czerwonego Krzyża zmieszane z Ewangelią zbyt głęboko mnie przeniknęły, ale teraz nie dziwię się tym, którzy w ciężkich warunkach idą ratować innych. Wiem też, że żyć dobrze, to wielka sztuka, ale chciałbym być zawsze gotów, by oddać to, co ponoć mam najcenniejszego, by ktoś inny też mógł żyć”.

Pragnąc ratować ludzkie życie, licealista z Rzeszowa nie zapomniał

o tych, którzy są najbardziej bezbronni, gdyż są zabijani w łonach swych matek. Zaangażowanie Jacka w apostołstwo ochrony życia poczętego wyraziło się w podejmowaniu modlitwy za dzieci poczęte oraz wygłaszaniu tematycznych prelekcji na lekcjach wychowawczych. Podczas godzin wychowawczych zgłaszał się do wygłaszania referatów i opracowywał wystąpienia, które były rzetelnie przygotowane i merytorycznie dojrzałe. Jacek odnosił się do aktualnych dokumentów Kościoła, które osobiście poznawał i wiernie przekazywał pełną doktrynę Kościoła oraz bronił chrześcijańskich wartości. W wypracowaniu szkolnym na zakończenie drugiej klasy religii młodzieniec z Palikówki, wypowiadając się na temat sensu życia, postawił retoryczne pytanie: „Co bowiem warte jest życie człowieka, który zabija siebie przez alkohol, narkotyki, który zabija drugiego człowieka, nawet tego bezbronniego?”. Troska o drugiego człowieka wypływała u Jacka z gorącej miłości do Chrystusa i świadomości, jak cenne jest ludzkie życie, za które Zbawiciel przelewał swoją Krew.

Relacje z najbliższą rodziną były prawdziwym sprawdzianem autentycznej świętości Jacka. Pomimo licznych zaangażowań, był on bardzo przywiązany do swoich bliskich i tęsknił za nim podczas wyjazdów w okresie szkoły średniej. Wymownym świadectwem takiej postawy są listy pisane z wyjazdu do Gdańska, gdy Jacek codziennie wysyłał wiadomości, opisując rodzicom, co przeżywał podczas pobytu w obcym mieście. Opisując szczegóły przeżytych dni, jak sam stwierdził, uważał, że jest to „kronika, swoista dokumentacja dla najbardziej nerwowych domowników”. Wyrażał on głęboką tęsknotę, pisząc: „Brak mi Was trochę w tym betonowym mrowisku. Staram się nie przesiadywać w domu, by

nie rozmyślać o samotności. Pierwsze dni zawsze są najtrudniejsze”. Warto też zwrócić uwagę na treść listów, w których Jacek zawarł nie tylko opis własnych przeżyć, ale też prośbę o modlitwę i zachętę do trwania w duchowej więzi podczas Apelu Jasnogórskiego: „Jednoczcie się ze mną na Apelu!”.

Więź z rodziną będzie istotna także podczas pobytu w Lublinie, gdzie Jacek, nawet ostatkiem sił, starał się powiadomić swoich rodziców i brata o tym, co u niego się dzieje i zapytać o to, jak idą sprawy w Palikówce. Interesował się ogrodową szklarnią i zobowiązaniami pieniężnymi rodziców. Sam starał się żyć bardzo oszczędnie, by nie naruszać budżetu rodzinnego. W listach do rodziców zdumiewa mnogość rozważań na temat sensu życia i wypowiedzi dotyczących sposobu odczytywania życiowej misji przez Jacka. Analiza tych wypowiedzi ujawnia głęboką więź duchową studenta z Palikówki ze swymi rodzicami i okazywane im zaufanie oraz wzajemną miłość. Wskazuje też na to, że ich poziom komunikacji był bardzo głęboki, gdyż wznosząc się ponad poziom banalnych stwierdzeń dotyczących życia codziennego, odnosił się do spraw poważnych, ujawniając najgłębsze przeżycia i pragnienia. Jacek ze szczerością wyrażał swe radości i niepokoje, wiedząc, że u rodziców znajdzie zrozumienie i miłość oraz niezawodne wsparcie okazywane w modlitwie i podtrzymywaniu w trudnościach.

Szczególną więź miał ze swoim bratem Marcinem, który dzielił jego poszukiwanie sensu życia i cieszył się ogromną miłością rodziców. W jednym z listów Jacka zawarte zostały wrażenia z wizyty Marcina w Lublinie, które, wskazując na serdeczność, przyjmującą niekiedy charakter zadziornego czubienia się, potwierdzają wzajemną miłość braterską. Warto też odnotować więź z dziadkami, ujawniającą się szczególnie w sposobie przeżycia śmierci dziadka, która wprost wstrząsnęła Jackiem i

ukazała mu na nowo kruchość życia, które trzeba przeżywać z wielką odpowiedzialnością. Pod wpływem tego wydarzenia Jacek weryfikował swoje plany życiowe i znalazł w nim motywację do nowego podejścia do życia. Tak opisał to w liście do rodziców z 20 czerwca 1987 roku: „Dosłownie w moje urodziny pogotowie zabrało do szpitala naszego dziadzia. I zmarł on dokładnie miesiąc później 16.09. Zapewne nikt nie zauważył tego wtedy, ale to właśnie w sierpniu, dokładnie od chwili, gdy zacząłem dyżurować przy dziadziu, zaczęło coś się dziać. Był to moment, gdy zamarzyłem

o spokojnym życiu, o kapciach na nogach. Dopiero śmierć dziadzia uprzytomniła mi to, do czego jestem(!) powołany. Na pewno nie do pisania artykułów, (choć i to potrafię) i siedzenia w fotelu! I zaczęła się walka, przemeblowanie, zabrnąłem teraz jednak tak daleko, że nie sposób stąd wrócić. Teraz już jestem pewien, że mam być lekarzem i teologiem, człowiekiem dającym z siebie maximum”.

Jacek, mając świadomość, jak wiele czerpie od swoich rodziców, był im bardzo wdzięczny i kochał ich miłością synowską, okazując szacunek i zaufanie. W piękny sposób wyraził to w pracy pisemnej na egzaminie wstępnym na KUL, gdy napisał, że pierwszymi, którzy przekazali mu skarb wiary i przybliżyli do Boga byli jego rodzice. W innym miejscu zapisał taką myśl: „Ja nie muszę szukać wzorców poza domem, gdyż mam je na co dzień w osobach rodziców”. To oni nauczyli go uczciwości i stanowili wzorzec na drodze wzrastania w doskonałości chrześcijańskiej. Jednak na pewnym etapie jego życia, kiedy głębiej wszedł w studium teologii i stykając się z cierpieniem, zarówno podczas pracy w pogotowiu ratunkowym, jak i potem, gdy doświadczał krzyża choroby nowotworowej, sam stał się dla rodziców

autorytetem i powiernikiem. Zachęcając ich do modlitwy i dbając o ich rozwój duchowy, stał się apostołem rodziny, którą scalał duch miłości i głębokiego zawierzenia Bogu.

ROZEZNAWANIE ŻYCIOWEGO POWOŁANIA

Szerokie zaangażowanie charytatywne, służba przy ołtarzu i podejmowanie wielu inicjatyw społecznych rodziło u obserwatorów aktywnego życia Jacka pytanie, do czego powołany jest ten wspaniały młodzieniec, bogato wyposażony w dary natury i łaski. Proboszcz parafii Strażów, ks. Edward Moskał, na podaniu swego parafianina

0 przyjęcie na studia teologii napisał lakoniczną uwagę, że Jacek jest wzorowym młodzieńcem. Sam Krawczyk, zastanawiając się nad swoim życiem, rozważał różne scenariusze. Brał pod uwagę życie zakonne

1 misyjne oraz zastanawiał się nad powołaniem do kapłaństwa realizowanego w ramach diecezji przemyskiej, do której wówczas należał Rzeszów. Na temat kapłaństwa często rozmawiał z księdzem Czyżewskim, któremu służył do Mszy świętej. Pytał go wówczas o znaki, które wskazywałyby na to, że Bóg powołuje go do posługi kapłańskiej. Wyrazem poszukiwań drogi życiowej były wyjazdy na rekolekcje powołaniowe do werbistów w Pieniężnie oraz do klaretynów we Wrocławiu. Życie zakonne poznawał też poprzez więzi z siostrami albertynkami w Krakowie, z którymi nawiązał kontakt, pragnąc uczyć się właściwego podejścia do osób chorych i ubogich. Otrzymał wówczas od nich relikwie św. Brata Alberta, z którymi się nie rozstawał. Korespondował też z prokurą misyjną oblatów w Poznaniu. Powołanie misyjne zajmowało sporo miejsca w sercu Jacka i wyrażało

się nie tylko w teoretycznym rozważaniu tej kwestii, ale też znalazło swe odbicie w zaangażowaniu w ramach koła misyjnego

i podejmowaniu modlitwy za misjonarzy oraz propagowaniu tematyki misyjnej i organizowaniu materialnej pomocy na rzecz misji.

W wypracowaniu z religii na zakończenie trzeciej klasy liceum, Krawczyk napisał pracę na temat sensu życia i wskazał na swoją życiową misję: „Dla mnie osobiście celem w życiu jest posługa. Posługa misyjna (jeśli zdam maturę), posługa tym, w których jest Chrystus cierpiący. To praca, ewangelizacja, apostołstwo. Przeświadczenie, że Chrystus razem ze mną będzie dźwigał ten misyjny krzyż jest prawdziwym sensem życia”. Na tym etapie życia był przekonany, że powinien wyjechać na misję. Ta myśl będzie obecna do końca jego życia, choć przyjmie nieco inny kształt. Potem bowiem będzie chciał zostać świeckim misjonarzem, który jako lekarz (a po zweryfikowaniu swych planów - jako psycholog) będzie niósł ludziom Chrystusa, lecząc dusze i ciała.

Swoje rozumienie powołania misyjnego licealista z Rzeszowa opisał w pracy końcowej w drugiej klasie liceum. Stwierdził wówczas, że „są i tacy, którzy biorą krzyż z rąk Zbawiciela. Czasem przerasta on ich siły. Ale nie uginają się. Idą dalej. Z nimi idzie rzesza modlących się wiernych, którzy choć pozostają w kraju, duchem są na misjach. Spotykają się też inni w organizacjach charytatywnych. Oni nie przychodzą, by śpiewać, śmiać się itp. Oni pragną Chrystusa. Albo modlitwa albo pomoc materialna. Albo i jedno i drugie”. W innym miejscu tego tekstu znalazły się następujące słowa: „Bierzmy przykład z misjonarzy! Ci zostawili wszystko, biorąc krzyż a nie krzyżyk. Nie śpiewajmy o miłości bliźniego, ale ją czyńmy! Módlmy się, bo kto się nie modli, temu szatana nie trzeba już do upadku. Wspierajmy ustawiczną modlitwą Kościół misyjny. Wspierajmy misjonarzy!”.

Dla młodzieńca z Palikówki powołanie misyjne oznaczało podjęcie zadania naśladowania Chrystusa i przyjęcie swoich obowiązków w duchu posłuszeństwa i miłości. Praktycznie zadanie to sprowadzało się do dążenia do świętości, o którym Jacek wprost napisał w przywoływanym wypracowaniu: „Tu jest droga do świętości. Złożyć całopalną ofiarę z siebie Bogu i bliźnim (...) Świętość jest możliwa dla mnie, dla ciebie, dla innych, ale weź krzyż, a nie jego namiastkę. Idźmy. Pan czeka. W drogę do świętości!”. W krótkim życiorysie, zawartym w kwestionariuszu kandydatów ubiegających się o przyjęcie na studia teologii na KUL, Jacek napisał o sobie, że interesuje się teologią i działaniami misyjnymi oraz szerzy idee misyjne w środowisku.

Jednak powołanie kapłańskie nie było przeznaczeniem młodzieńca z Palikówki, gdyż Chrystus wybrał dla niego inną drogę. Sposób jej rozpoznania wskazuje na bezgraniczne zaufanie okazywane przez młodego Krawczyka wobec prowadzącego go Zbawiciela. W liście do swego profesora i przyjaciela, ks. Janusza Nagórnego, Jacek tak opisał proces rozeznawania drogi powołania. „Cokolwiek ważnego było (i jest) w moim życiu, było zawsze kierowane przez Boga dla mojego dobra, choć nieraz wbrew mojej woli. Tam, gdzie się wahałem, inni byli wykonawcami Jego woli. Tak było z egzaminem wstępnym! Na pewno nie zdawał sobie Ksiądz sprawy z tego, że decyduje Ksiądz o moim życiu, wykonując Jego wolę”.

Powyższe stwierdzenia Jacka odnoszą się do sytuacji z czerwca 1985 roku, gdy wahał się, czy wybrać seminarium w Przemyślu, czy kontynuować powołanie misyjne realizowane w stanie świeckim, postanowił zdawać egzamin na studia teologii dla świeckich na Wydziale Teologii KUL w Lublinie. Podczas egzaminu niezbyt

dobrze wypadły jego odpowiedzi z przedmiotu *historia Kościoła* i przy ówczesnej dużej liczbie kandydatów na jedno miejsce mogło dojść do odrzucenia jego podania o przyjęcie na studia z braku miejsc. Pracę pisemną kandydata z Palikówki sprawdzał ks. Janusz Nagórny, który zachwycił się jej treścią i, pytając Jacka podczas egzaminu ustnego z teologii moralnej, potwierdził swoją opinię o tym młodzieńcu. Podwyższając mu ocenę, spowodował jego przyjęcie na studia teologii dla świeckich. Jacek skomentował to po latach w liście do Profesora: „Długo zastanawiałem się nad podjęciem decyzji i właśnie stąd był ten egzamin. Gdybym go oblał, teraz przygotowywałbym się do święceń kapłańskich. Jednak pięć lat temu nie wiedziałem, czy się zmieszczę w utartych strukturach, czy będę mógł dalej pracować. Woląłem więc złożyć decyzję w Jego ręce. Jedynym moim postanowieniem było «robić dobrze, to, co robię». I tak dostałem się na studia. Prawda jest taka, że Ksiądz był po prostu wykonawcą Bożej woli”. Odpowiedzią Jacka na dar studiów było jeszcze większe zaangażowanie w dążenie do świętości przez prowadzenie głębokiego życia duchowego, solidne studiowanie i podejmowanie nowych inicjatyw w zakresie pomocy świadczonej bliźnim.

STUDIA W LUBLINIE

Okres studiów teologii w Lublinie obfitował w doświadczenie bliskości Boga i uczenie się własnego człowieczeństwa. Jacek odnalazł środowisko, w którym rozwinęły się jego talenty i jeszcze pełniej dojrzała świętość. Nowi przyjaciele okazali mu pomoc we wzrastaniu w mądrości życia, która cała oparta była na pokładaniu nadziei w łasce Bożej. Szczególną rolę w tym okresie odegrał ks. profesor Janusz Nagórny, który pierwszy rozpoznał „diament” podarowany wspólnocie uniwersyteckiej przez Boga w postaci Jacka Krawczyka. Sam student z Palikówki, po latach odnosząc się do egzaminu wstępnego na uczelnię, wyraził to w liście do swego Profesora z 12 grudnia 1990 roku, stawiając retoryczne pytanie: „Czy przez to zostałem Księdzu «zadany». Chyba tak, ale jako «oścień». Ale to już inna kwestia”.

Ks. Janusz był nie tylko mentorem, przyjacielem i opiekunem Jacka, ale też powiernikiem jego sekretów życia duchowego i spowiednikiem. Życie tych dwóch teologów zostało związane nie tylko przez wspólny okres współpracy w czasie studiów w Lublinie, gdzie pełnili asymetryczne role profesora i studenta. Ich los został spleciony przez doświadczenie podobnej choroby, którą przeżywali w różnym czasie. Jak ważne było dla ks. Janusza spotkanie studenta, który nauczył go odwagi w znoszeniu cierpienia, okazało się po kilkunastu latach, gdy przeżywał to samo zmaganie ze śmiertelną chorobą nowotworową. Ks. Nagórny przeczytał wówczas na nowo książkę *W pół drogi* i w świadectwie Jacka odnalazł światło, by przyjąć podobne doświadczenie. Owocem tych doświadczeń jest trzecie wydanie książki, w którym znalazł się zapis rozmowy przeprowadzonej z

ks. Nagórnym przez ks. Piotra Kieniewicza, potwierdzający przekonanie Profesora o świętości swego studenta.

Inną osobą, która stała się powiernikiem Jacka w lubelskim okresie był ówczesny doktorant historii Kościoła na KUL, ks. Eugeniusz Derdziuk. Będąc przyjacielem i uczniem ks. Nagórnego, pomagał mu w prowadzeniu duchowym studentów rocznika, którego ks. Janusz był opiekunem w ramach Wydziału Teologii. Razem organizowali wyjazdowe dni skupienia w sanktuariach Lubelszczyzny oraz starali się ukazać studentom piękno życia chrześcijańskiego przez czytelne świadectwo przywiązania do Kościoła. Wspólne modlitwy, nocne czuwania i wyjazdy umacniały więzi wspólnotowe i budowały relacje oparte na prawdziwej przyjaźni szukającej dobra drugiej osoby. Warto też wspomnieć ojca jezuitę Jerzego Bialka, który w tamtym czasie był duszpasterzem akademickim w kościele uniwersyteckim na KUL. To właśnie jego Jacek wybrał na swojego stałego spowiednika i kierownika duchowego. Z wielkim entuzjazmem napisał

o tym w liście do rodziców w następujących słowach: „Przy okazji poznałem pewnego ojca jezuitę, x. Jerzego. Fantastyczny «klecha»! Został moim ojcem duchowym (poprosiłem go o to i się zgodził), myślę, że da mi «popalić». Cały czas istotnym punktem odniesienia byli oczywiście rodzice i brat mieszkający w Palikówce oraz ks. Czyżewski, przyjaciel z lat nauki w Rzeszowie.

Jacek nie był zwykłym studentem. Choć traktował studia poważnie i dokładnie zgłębiał teologię Kościoła, to jednak ważniejsze było dla niego doświadczenie głębokiej wiary i dążenie do spotkania żywego Chrystusa w Jego cierpiących braciach i siostrach. Podczas wykładów był bardzo zaangażowany, z uporem dociekał prawdy

1 chętnie dyskutował na podejmowane podczas nich zagadnienia, a nawet niekiedy spierał się z profesorami. Jednak nie wszystkie zajęcia akademickie traktował jednakowo, dlatego też nie na wszystkie uczęszczał. Niekiedy wolał pomóc konkretnym ludziom, coś dobrego załatwić, zaś kwestie naukowe doczytywał sam. Szczególnie upodobał sobie seminarium naukowe z teologii moralnej, na którym ujawniało się jego ogromne odczytanie okazywane w jasnych i precyzyjnych wypowiedziach. Jego dyskusje z prowadzącym seminarium ks. Nagórnym zajmowały sporo czasu i wzbudzały uznanie promotora, który lubił wypowiedzi Jacka odpowiednio uzasadnione na bazie pogłębionej wiedzy.

Krawczykowi zdarzało się spóźniać na wykłady i to nawet na te prowadzone przez ks. Nagórnego, który nie cierpiał spóźniających się studentów. Do Jacka miał jednak szczególną słabość i tolerował jego postawę, ku zdziwieniu i przerażeniu innych studentów. Jeden z nich tak opisał sytuację, w których profesor surowym wzrokiem śledził spóźnialskiego, szukającego miejsca do siedzenia w sali wykładowej. „Jacek rozbierał je jakimś słowem, uśmiechem bądź także spojrzeniem, poprzez które oni obaj rozumieli się jak ojciec i syn”. Pewnego razu podczas wykładu z teologii moralnej, prowadzonego przez ks. Janusza, Jackowi zadzwonił trzymany w plecaku budzik. Okazało się, że młody Krawczyk oddał swój zegarek do naprawy i do określenia czasu używał budzika. W czasie studiów żył bardzo skromnie. Mimo że rodzice zapewniali mu pieniądze i podsyłali zapasy żywności, to jednak Jacek niezbyt dbał o te sprawy. Napisał o tym w liście do domu: „Bogu dzięki, kapusta kiszona jak na razie nie podskoczyła. Tak naprawdę, to jest to coś, co jest gwarantem mojego zdrowia, przynajmniej jako tako się trzymającego. Poza

tym ma mi wystarczyć na chleb, masło, no i tyle”.

Z okresu studiów zachowały się listy do rodziców oraz wspomnienia kolegów i koleżanek, które prezentują wrażliwość studenta z Palikówki na drugiego człowieka i niezwykłą zdolność do poświęcania swego czasu w służbie bliźniemu. Z tego powodu Jacek był ciągle przemęczony i nie nadążał z podejmowanymi zobowiązaniami. W liście do rodziców pisał o tym w następujących słowach: „Pośpiech, to ja mam chyba wrodzony. O ile w domu czasem miałem «czas», to tu niestety jest expres. Tylko, że z nauką to nie zawsze tak się da. (...) Ze zmęczeniem to jest różnie. Najczęściej, gdy coś mi wyjdzie, znika i wtedy uśmiechnięty nie czuję nawet ciężaru pełnej książek torby. Co prawda, gdy człowiek «wróci na ziemię», to życie przytłacza, ale wtedy jest już po 24. i idę spać. Tak więc wszystko można pogodzić. Co prawda żałuję, że doba nie ma 48 godzin, ale trudno”.

Skarżył się też z tego powodu: „Co do nauki, to muszę przyznać, że jestem trochę zły, bo mój leb nie pracuje tak jak trzeba. Nie chłonie tego wszystkiego, w tempie takim, jak bym sobie życzył. Myślę, że jest to jakiś chwilowy kryzys”. W jednym z listów do swego brata Marcina napisał: „Dziś spałem aż 3 godziny”. Szczególnym świadectwem przemęczenia jest jeden z listów do rodziców, który został niedokończony, a pismo, którym heroiczny student zapisywał swoje myśli, od pewnego miejsca stało się nieczytelne, gdyż nie panował on już nad zmęczonym ciałem. Jeden z jego kolegów mieszkający z nim razem na stacji, zanotował w swoim wspomnieniu: „Podziwiałem go za pracowitość. Zawsze coś robił. Nie usiedział spokojnie chwili. Dużo czytał, często nocami przesiadywał nad książkami. W dzień, w wolnych chwilach biegał po szpitalach i placówkach opieki

społecznej”.

Pogląd na istotę studiów teologicznych wyraził Krawczyk w liście do współuczestników seminarium naukowego prowadzonego przez ks. Nagórnego. Będąc poważnie chory i mając już inne spojrzenie na rzeczywistość, wypowiedział swoje credo na temat powołania teologa. Studiowanie teologii było dla niego nade wszystko okazją do pogłębienia wiary. Dlatego kładł zdecydowany nacisk na połączenie formacji intelektualnej z formacją duchową, to jest kształtowaniem serca i umysłu na wzór Chrystusa. Stąd istotnym elementem studiowania winna być modlitwa. Według niego „formacja intelektualna i duchowa stanowią zazębiającą się całość, całość nierozzerwalną”.

Student z Palikówki, mając na myśli integralny rozwój człowieka i jego wierne trwanie w przyjaźni z Chrystusem, przestrzegał swoich kolegów i koleżanki, że człowiek „trwa pod warunkiem, że stanowi jedność, że jego intelekt wspiera wiarę, a wiara intelekt, że formacja intelektualna i duchowa stanowią zazębiającą się całość, całość nierozzerwalną. Jest jednak jeden warunek. Solidność każdej z tych formacji. Niedouczony teolog ma w życiu o wiele więcej problemów niż prosty zupełnie nieuczony człowiek. Wynajduje nie istniejące problemy i stawia głupie pytania. Nedomodlony teolog jest jednym z najgorszych typów ateistów, bowiem zewnątrz przypomina bombkę z pozawieszanymi na niej fideistycznymi ozdóbkami, śmieciami, a środkiem jest po prostu pusty. Co więcej, uczy tej pustoty innych, kierując na drogę sekciarstwa, a nie autentycznego uczestnictwa w Kościele”.

W opinii studentów, którzy razem z nim studiowali na KUL, Jacek był lubiany i odbierany jako człowiek mający poczucie humoru oraz posiadający duży dystans do siebie. Jedna ze studentek napisała: „Nie widziałam go nigdy zdenerwowanego, ale często

miął cięty język i powiedzonka”. Studiujący razem z nim teologię Gabriela i Piotr, wspominając postać Jacka, stwierdzili: „Jako student teologii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim dał najpierw swoje świadectwo w radości życia, w otwarciu na wszystko to, co rodziło nadzieję - także u innych ludzi. Był taki jak my wszyscy — studenci. Potrafił cieszyć się życiem na różne sposoby”. Jednak z powodu oddziaływania, które wywierał na innych nazwali go „współczesnym świadkiem Chrystusa i Jego zmartwychwstania”.

Koleżdy i koleżanki ze studiów, odnosząc się do jego poszukiwania drogi życiowej i często wypowiedzianych stwierdzeń, pozdrawiali go słowami: „Wszystko na większą chwałę Boga”. Jedna z koleżanek z roku napisała o nim we wspomnieniu: „Jawił mi się jako człowiek, który jest otwarty na ludzi”. Jacek w tym, co robił, angażował się całkowicie, dlatego nie znosił połowiczności. Studentów wręcz szokowały jego ideały pracy z chorymi, ogromna wrażliwość i wielkie plany angażowania się na rzecz innych, które wydawały się niemożliwe do zrealizowania. Było bowiem tego tak dużo i na takim poziomie, że wydawało się przekraczać możliwości jednego człowieka. Jak stwierdziła jedna z koleżanek, Jacek „był taki młody duchem, świeży”.

Znamienne są zapiski promotora pracy magisterskiej, który stwierdził: „Widziałem jednak, jak szybko dojrzał. Jak coraz mniej zależało od nastroju i emocji, a coraz więcej od świadomego wyboru. Uczył się konsekwencji w życiu”. Jedna z koleżanek, która razem z nim była na jednym roku studiów, po wielu latach wspominając postać Krawczyka, napisała: „Kto zetknął się z Jackiem, ma potrzebę dziękowania Bogu za to, że był pośród nas taki człowiek jak on, przez którego Bóg chciał nam coś powiedzieć i coś dla nas uczynić”. Można zatem bez żadnej przesady stwierdzić, że na tym etapie życia Jacek w stopniu

heroicznym realizował dążenie do osiągnięcia pełni
człowieczeństwa.

HEROICZNE ZAANGAŻOWANIE NA RZECZ POTRZEBUJĄCYCH

Nastawienie na to, by być w pełni człowiekiem wyraziło się w konkretnym zaangażowaniu na rzecz człowieka oczekującego pomocy w przeżywanej potrzebie. Jacek chciał być jak świeca, która spalając się, oświeca innym drogę. To nastawienie towarzyszyło mu już od wczesnej młodości i ożywiało jego myśli oraz działania. Będąc na drugim roku studiów, w liście do rodziców z 27 listopada 1986 roku zwracał się do nich: „Proszę, módlcie się za mnie, by Bóg dał mi siłę do działania, bym był jak świeca, która choć sama się spala, to jednak oświeca, ogrzewa i zapala inne nieużywane lub wygasłe świece⁵⁵.

Jego zaangażowanie na rzecz potrzebujących, rozpoczęte w Rzeszowie, znajdowało wciąż nowe formy służby drugiemu. Jednym z takich działań było propagowanie honorowego krwiodawstwa. Już w okresie szkoły średniej zaangażował się w szerzenie idei czerwonokrzyskich i realizował honorowe oddawanie krwi. Podczas studiów w Lublinie na nowo podjął tego typu działalność. Pamiętał o dniach honorowego krwiodawstwa, które są obchodzone pod koniec listopada. Właśnie w tym okresie, pisząc list do rodziców, zachęcał ich do włączenia się w akcję oddawania krwi. „Wysyłam Wam naklejki (był przecież tydzień krwiodawstwa). Bardzo bym chciał mieć w Was gorących sympatyków krwiodawstwa. To nie ważne czy ta krew jest zużywana w kraju, czy gdzieś za granicą. Ważne jest to, że ratuje czyjeś życie⁵⁵.

Istotnym wymiarem Jackowej służby potrzebującym było dbanie

O trzeźwość narodu. Wynosząc z domu rodzinnego ideał życia abstynenckiego, który był wiernie i szczerze kultywowany w Palikówce, Jacek niezmordowanie działał na rzecz ludzi pogrążonych w nalogu pijaństwa. Z tego powodu unikał imprez, na których podawano alkohol. W liście do Ewy z dnia 8 kwietnia 1988 roku napisał swojej ukochanej: „Mam zaproszenie na «imprezę». Ale spokojna głowa, ponieważ szykuje się pijaństwo, to mnie tam nie będzie (...). Osobiście wolę kameralne spotkanie zaprzyjaźnionego grona od wyścigów w opróżnianiu butelek. (...) Tego rodzaju rozrywki mnie nie bawią! (...) Dla mnie spotkanie z przyjaciółmi, to bardzo ważna sprawa. Lubię kiedy odbywa się to w odpowiednim nastroju. Podobnie lampka wina, to symbol. Nienawidzę «duldania z butelek». Zawsze marzyłem o czymś takim na najwyższy połysk, ze strojami wieczorowymi, z odpowiednim menu, lampką odpowiedniego wina, nastrojową muzyką”.

Jacek, wypowiadając się na temat trzeźwości, ukazywał jej piękno i zachęcał innych do jej zachowania. Przedmiotem jego szczególnej troski byli ludzie uzależnieni od alkoholu, którym poświęcał dużo swego czasu i nakładu sił. Odwiedzał ich w domach i zachodził do miejsc, gdzie gromadzili się pijacy, by wydobyć swych chorych braci ze szponów nalogu. Pomagał pijanym leżącym na ulicy i niejednokrotnie narażał się na drwiny, taszcząc pijane osoby do ich domów. W jednym z listów do swej narzeczonej pisał, że po spotkaniu z nią nie wrócił od razu do domu: „Gdy wracałem od Ciebie, na Al. Racławickich znalazłem leżącego na samym poboczu pijaka. Właśnie zaczynało mocniej kropić. Przytaszczyłem go aż na Narutowicza, do jego «domu»”. Jak w każdym działaniu, Jacek angażował się maksymalnie. Nie zważając na drwiny środowiska, na reakcje obojętnych przechodniów, nie

oszczędzając swego czasu i swoich sił, śpieszył z pomocą tym, których spotykał na drodze swego życia. Krawczyk często zachodził do melin, by ratować ludzi z nalogu pijaństwa. Ksiądz Czyżewski opowiadał, że Jacek „kiedyś usłyszał krzyk ciągniętej przez chuliganów dziewczyny (był to podstęp) i pośpieszył na ratunek. Został pobity. Zabrali pieniądze, zegarek, złamali dwa żebra”. Zachowania młodego studenta z Lublina we wspomaganiu biedaków były podobne do działań podejmowanych przez bł. Giorgio Frassatiego, którego Jacek w pewien sposób przypominał. Obaj mieli w sobie nieodpartą chęć pomagania innym, która - nie zważając na narażanie własnego bezpieczeństwa i reputacji - kazała im iść do miejsc, do których nikt nie chciał się udawać.

Wrażliwość na ludzką biedę sprawiała, że Jacek wynajdywał ludzi ubogich, którym organizował pomoc duchową i materialną w postaci ubrań, żywności i pomocy w opłaceniu należnych rachunków. Jak stwierdził jego kolega we wspomnieniu zapisanym w książce *W pół drogi*, młody Krawczyk, odwiedzając domy opieki społecznej, „na wszelki sposób starał się zgromadzić środki dla potrzebujących pomocy. Snuł plany rozwinięcia na szerszą skalę działalności charytatywnej, przy czym starał się, aby zaangażować do tego jak największą liczbę osób. Nie zawsze jednak znajdował zrozumienie. Zastanawiałem się, skąd on ma w sobie tyle energii”. Wiesława Jabłońska wspomina, że Jacek „był bardzo zaangażowany w organizowanie pomocy dla innych, w którą udało mu się włączyć także ludzi z naszego roku”.

Stosowany przez studenta z Palikówki oryginalny sposób pozyskiwania ubrań dla otaczanych jego opieką biednych opisał w swoim wspomnieniu ks. Eugeniusz Derdziuk: „Pamiętam jedno szczególne spotkanie z Jackiem. Przyszedł do mnie, do akademika

i jak to Jacek, zawsze konkretny, powiedział: «Księżu, proszę przejrzeć szafę z ubraniami i te, których nie używał ksiądz od roku, proszę mi wydać, bym mógł je przekazać potrzebującym». Jeśli dobrze pamiętam, tak też zrobiliśmy. Wiem, że Jacek, chociaż nie pochodził z Lublina i przecież miał zajęcia na uczelni, znajdował jednak czas, by odnajdywać ubogie osoby i im w różnoraki sposób pomagać”. Podobne sytuacje relacjonował też ks. Nagórny, do którego Jacek przychodził w celu pozyskania ubrań dla ubogich, zabierając je wprost z szafy profesora. Ludzie z zaufaniem przekazywali mu różne rzeczy, które on wykorzystywał dla biednych. Jednocześnie młody świadek Chrystusa umiał ograniczać swoje potrzeby i ze swych skromnych oszczędności pomagać potrzebującym. Było bowiem tak, że on najpierw sam udzielał sobie i ze swego, a dopiero potem angażował innych.

Szczególne miejsce w sercu i działaniach Jacka zajmowali ludzie chorzy. Zostało to już w pewnej mierze zaprezentowane w opisie jego zaangażowania w pracy pogotowia ratunkowego. Jednak zanim podjął praktykę w karetce pogotowia, już wcześniej w Lublinie chodził do szpitala dziecięcego, by towarzyszyć samotnym pacjentom w wieku szkolnym. Jak zapisał to w liście z 27 listopada 1986 roku, starał się

o zorganizowanie grupy studentów chodzących regularnie do szpitala. „Dziś byłem w Klinice dziecięcej na oddziale ortopedycznym i rozmawiałem z opiekującą się dziećmi lekarką prof. dr Stolecką. Już wcześniej się z nią spotkałem, prosząc o zgodę na wejście grupy ludzi z naszego roku, chcących pracować na tymże oddziale. Pani Stolecka obiecała, że porozmawia o tym z profesorem odpowiedzialnym za oddział, no i porozmawiała. Mamy mieć aktualne książeczki zdrowia i wtedy... Dziękuję Bogu, że udało mi się tę sprawę załatwić. Zdaję sobie sprawę, że będzie to jeden

obowiązek więcej, ale trudno. Kto powiedział, że chrześcijaństwo ułatwia życie?”.

W tym samym liście do rodziców, podejmując refleksję nad ogromem spotykanego cierpienia, Krawczyk napisał: „Wiecie, to naprawdę smutne, gdy patrzy się na piękno tego świata, na piękno człowieka i tego wszystkiego, co Bóg przez Niego stwarza, a jednocześnie widzi się tyle zła i cierpienia, w stosunku do których jest się bezsilnym”. Kiedy sam zachorował na raka, napisał do swego promotora list, w którym wyjaśniał, dlaczego tak chętnie pomagał ludziom w szpitalu. „Co się zaś tyczy tego, że dawniej tak często wyrywałem się do szpitala.... No cóż, kiedyś napisałem, że właśnie szpital, nie klasztor i nie kościół, ale dla mnie właśnie szpital jest miejscem, gdzie jest «najwięcej» Chrystusa. Dlatego tak bardzo mnie tu ciągnęło i nadal ciągnie”.

Jacek chciał spotykać w swoim życiu Chrystusa, w Nim widział sens swego życia i dlatego chodził do szpitala, by tam Mu służyć w najbardziej potrzebujących. Czas poświęcony chorym był dla studenta z Palikówki okazją do rozwoju jego osobowości i umożliwiał mu życie pełnią człowieczeństwa. Wspominając czas studiów w Lublinie, napisał do swego profesora: „Te dwa lata, okres bardzo intensywnej pracy społecznej, ciągłego chodzenia po szpitalach i innych miejscach, gdzie nie zawsze ktoś inny miał ochotę się przejść, pozostawiły mi coś, czego nikt przekazać nie może i co stanowi procentujący kapitał”.

W tym kontekście listy pisane do Ewy mówią jeszcze więcej. Jacek między innymi pisał do swej ukochanej: „Pomyślałem sobie, że po psychologii może mógłbym pracować w normalnym szpitalu opiekując się nieuleczalnie chorymi. Wiem, że być z człowiekiem w ostatnich chwilach, to trudna sprawa, ale... Ja naprawdę lubię to, co trudne. Nie to jest jednak najważniejsze. Ważne jest to, że dla

tych ludzi potrzebny jest opiekun, ktoś kto poprowadzi ich w ostatnich chwilach. To trudne i wyczerpujące, ale liczę też na Twoją pomoc”. W innym liście do Ewy wyraził to jeszcze konkretniej: „Pomyślałem sobie, że bardzo chciałbym spędzić choć niektóre święta w szpitalu. Razem z Tobą i z dziećmi. Czas świąt jest jedynym w swoim rodzaju. Wtedy wszyscy się do siebie uśmiechają i nie ma narzekań na personel medyczny i na pacjentów”.

Postawa prezentowana przez Jacka może wydawać się dla kogoś przesadą. Wielu mogłoby potraktować go jako niepoprawnego idealistę, który snuje niemożliwe do spełnienia marzenia i naraża innych na znoszenie swoich zachcianek. Jednak życie pozytywnie zweryfikowało Jackowe pragnienia niesienia pomocy człowiekowi cierpiącemu z powodu choroby. Uzasadnieniem jego postawy była gorąca miłość Chrystusa, która doprowadziła go do dźwigania krzyża z Odkupicielem. Podczas własnej choroby Jacek stał się dla innych punktem oparcia i pomocą w odzyskiwaniu nadziei. Czyni to zresztą do dziś wobec tych, którzy stykają się z jego postacią przez pośrednictwo książek oraz zasłyszanych świadectw, jak też i przez modlitwę zanoszoną przez jego wstawiennictwo.

UMIŁOWANIE SAKRAMENTÓW KOŚCIOŁA

Głęboka wiara Jacka znajdowała konkretne odzwierciedlenie w okazywaniu szczerzej miłości wobec Boga i człowieka. Praktyki pobożności obejmowały zarówno przyjmowanie sakramentów, jak i modlitwę osobistą, którą młodzieniec z Palikówki traktował jako dający mu radość i szczęście przywilej dziecka Bożego. Po jednej z adoracji eucharystycznej napisał w liście do rodziców, że modlitwa stanowi jego żywioł. W opinii księdza Nigborowicza, katechety z lat szkolnych w Rzeszowie, znalazło się stwierdzenie, że Jacek aktywnie uczestniczył w życiu Kościoła oraz często przystępował do sakramentów.

Chrzest przyjął w kościele parafialnym pod wezwaniem świętego < Onufrego w Łące w dniu 9 października 1966 roku. Sakramentu udzielił mu proboszcz tamtejszej parafii, ks. Wojciech Litwin. Rodzicami chrzestnymi zostali Maria Krawczyk i Józef Mac. Na chrzcie dziecku nadano imiona Jacek Roman. Świadomość przynależności do Kościoła, do którego wchodzi się przez chrzest, sprawiała, że Jacek odkrywał swoją odpowiedzialność za wspólnotę ludzi wierzących i czuł się powołany do apostołstwa przez modlitwę, cierpienie, słowa i przykład życia. Jego identyfikowanie się z uczniami Chrystusa prowadziło go w okresie nauki w liceum do zapisywania w szkolnych wypracowaniach krytycznych uwag pod adresem letnich chrześcijan, którzy nie zdawali sobie sprawy z wielkości przyjętego daru i podjętego zobowiązania.

Rozwijając w sobie dary Ducha Świętego, otrzymane na chrzcie i potwierdzone oraz rozbudzone przez bierzmowanie,

młodzieniec / Palikówki odmawiał specjalną modlitwę do Ducha Świętego, ułożoną przez świętą Katarzynę ze Sieny, prosząc o pomnożenie łaski i rozpalenie miłości. Sakrament bierzmowania - jako widzialny znak chrześcijańskiego wtajemniczenia, umacniający w nim działanie Ducha Świętego — Jacek otrzymał w kościele parafialnym pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski i świętego Antoniego w Strażowie w dniu 20 maja 1981 roku. Przyjął wówczas imię Józef. Szafarzem sakramentu bierzmowania był ks. biskup Ignacy Tokarczuk, Biskup Przemyski.

Umiłowanie Eucharystii zrodziło się u niego podczas dojeżdżania do szkoły w Rzeszowie, gdy, oczekując na pociąg, zachodził do kościoła bernardynów, gdzie trwał w cichej adoracji. Po pewnym czasie poprosił o możliwość służenia do Mszy świętej i z radością oraz wielką pobożnością usługiwał przy ołtarzu. Młody Krawczyk spotkanie z Jezusem Eucharystycznym uważał za swoje wielkie szczęście i starał się codziennie uczestniczyć w Mszy świętej. Tak pisał o tym z Lublina w liście do rodziców z 1 grudnia 1986 roku: „Na Mszy świętej staram się być często, a w kościele jestem codziennie”. W tekście napisanym podczas choroby i przeznaczonym do opublikowania w prasie katolickiej zanotował: „W czasie mojej wielomiesięcznej choroby byłem w tej wspaniałej sytuacji, iż dane mi było przyjmować Jezusa Chrystusa pod postacią Najświętszego Sakramentu niemal codziennie. (...) Fakt, że trudny okres pooperacyjny, a potem okres kryzysu sił życiowych, został przeze mnie przyjęty w miarę gładko, jest efektem ciągłej obecności kapelana przynoszącego Komunię świętą”. Niekiedy o Komunię musiał walczyć z samym sobą i przeciwnościami powodowanymi przez uciążliwość znoszonej choroby. W liście do prof. Nagórnego z grudnia 1990 roku tak opisywał swoją dramatyczną sytuację: „Przyszędł

kapelan a widząc mnie leżącego nad miednicą, oświadczył, że nie mogę przyjąć Komunii świętej. Chyba Ksiądz nie sądzi, że się na to zgodziłem. Wyprosiłem: «choć okrusek». Udało się i... przestałem wymiotować”.

W czasie choroby Komunia święta była prawdziwym źródłem jego duchowej mocy. Jacek napisał, że Chrystus przyjmowany w Komunii świętej „bierze jarzmo chorego (...), staje przy chorym i cierpi z nim to wszystko, co on (...), tam, gdzie słaby uczeń upada, bądź nie daje rady już iść, Chrystus sam bierze na ramiona cały ciężar”. W liturgii Mszy świętej Jacek dostrzegał wzór składania daru ze swego życia na wzór Chrystusa. Jego tęsknotę za Jezusem Eucharystycznym wyrażają słowa z listu do księdza Czyżewskiego, któremu podczas nauki w liceum w Rzeszowie Jacek służył do Mszy świętej w jego mieszkaniu: „W szpitalu jestem wręcz rozpieszczany codzienną Komunią świętą. Do domu mój spowiednik przychodzi co najmniej raz w tygodniu, jeśli nie może przyjść częściej i oczywiście z Komunią świętą, a oprócz tego przychodzą diakoni przynosząc Pana Jezusa. Nie ukrywam, że tęsknię za liturgią sprawowaną u Księdza w domu, no ale jest to teraz niewykonywalne. Czasami mój spowiednik odprawia mi Mszę świętą w domu i jest to wtedy wielka radość dla mnie. Niestety skończyły się, jak na razie możliwości chodzenia do kościoła, choć z Bożej Opatrzności dane mi było uczestniczyć w liturgii Wielkiego Czwartku i w Rezurekcji”. W zakończeniu tego listu zawarł słowa: „Nie wiem kiedy się spotkamy, ale marzy mi się znów wspólna Msza... Może jeszcze dostąpię tej radości!”.

Podczas pobytu w Katowicach został otoczony opieką duszpasterską ze strony braci mniejszych z klasztoru w Panewnikach, którzy umożliwili mu udział liturgii na specjalnych warunkach. Ponieważ Jacek był bardzo słaby, podatny na infekcje, a ponadto cierpiący na nieustanne torsje, miał zarezerwowane

specjalne miejsce w prezbiterium bazyliki. Opisał je szczegółowo swoim rodzicom: „W takim punkcie, w którym będę nie tylko bardzo blisko wszystkich uroczystości (bliżej niż inni wierni), ale też będę mógł wyjść do zakrystii, by napić się z termosu herbaty, zażyć lek, czy po prostu wyjść”. Powyższe wyjaśnienia były potrzebne dlatego, że jego bliscy, biorąc pod uwagę jego stan zdrowia, odradzali mu udawanie się do kościoła. On jednak, nie wyobrażając sobie życia bez Mszy świętej, prosił, by uszanowali jego decyzję i pozwolili: „By coś z tego, co moje, a przed czym się tak zapalczywie bronicie, jakoś przedostało się do Was”. Życzliwość braci franciszkanów była tak wielka, że o. Tyberiusz był gotów odprawić u Jacka w mieszkaniu Mszę świętą w ostatnią Niedzielę Wielkanocną przeżywaną na ziemi.

Dążący do świętości student z Palikówki bardzo cenil sobie sakrament pokuty i pojednania, gdyż widział w nim zarówno dar umocnienia w cierpieniu, jak też naukę pokory. W rozważaniu na temat Triduum Paschalnego zapisał takie stwierdzenia na temat znaczenia spowiedzi dla człowieka chorego: „Sam Chrystus nigdy nie zostawia człowieka, tym bardziej chorego, w chwili próby. Sakrament pokuty, w którym chory spotyka się z przebaczącym Zbawicielem, jest jedną z tych okazji, w których Chrystus wlewa otuchę w serce człowieka. To Zbawiciel stara się podnieść upadłego brata i to On sam bierze go na swe ramiona, pamiętając chyba jak kiedyś pozwolił, by Jego krzyż niósł Szymon. Czy jest to drobna lekcja pokory dla zapadłego w kompleksach słabości, chorego człowieka? Wydaje się, że tak”.

Dla młodego teologa z Palikówki spowiedź była jednak czymś więcej niż oczyszczeniem z grzechów. Stanowiła ona istotne narzędzie w rozwoju duchowym i w systematycznej pracy nad sobą. We wspomnianym wyżej rozważaniu paschalnym Jacek napisał: „Trudno sprowadzić sakrament pokuty chorego

człowieka tylko do nauki pokory, niemniej jest to z pewnością wstęp do tego całego wielkiego rozwoju jaki nastąpi potem. Jest to wstęp konieczny i brzemienisty w skutki. Sam Chrystus leczy po kolei kolejne rany, jakie zadaje sobie chory i częsta spowiedź święta jest niezwykle ważną formą spotkania z czekającym Zbawicielem. Formą pozwalającą stawiać dalsze kroki”. Spotkanie z Chrystusem sprawia bowiem, że człowiek coraz lepiej rozumie swoje życie i zyskuje nadzieję na osiągnięcie świętości, która jest szczytem rozwoju człowieczeństwa.

W okresie nauki w Rzeszowie Jacek spowiadał się u bernardynów, szczególnie u ojca Kolumbana oraz u księdza Czyżewskiego. Według świadectwa mamy Jacka, w okresie szkoły średniej „do sakramentu pokuty przystępował on co dwa tygodnie, aby mógł z czystym sercem przyjmować Jezusa”. W Lublinie dość szybko znalazł sobie stałego spowiednika, którym był jezuita z duszpasterstwa akademickiego KUL. Korzystał także ze spowiedzi u ks. Eugeniusza Derdziuka i ks. Janusza Nagórnego. Częsta spowiedź stanowiła dla niego szczególną pomoc podczas ostatniego okresu choroby. Gdy był w szpitalu, prosił, by spowiednik, który przynosił Komunię świętą, odwiedzał go codziennie. Gdy wyszedł ze szpitala, cieszył się tym, że „do domu mój spowiednik przychodzi co najmniej raz w tygodniu, jeśli nie może przyjść częściej”. Jednak, jak wskazują na to notatki z okresu pomagania pensjonariuszom domu rencistów w Rzeszowie, Jacek był apostołem spowiedzi już w okresie liceum, zachęcając swych podopiecznych do sakramentu pokuty i pojednania, wzywając do podejmowania trudu nawrócenia podczas rekolekcji oraz wyjaśniając znaczenie odpustów, które można zyskać dzięki stanowi łaski uświęcającej odnawianej poprzez ten sakrament.

Do sakramentu namaszczenia chorych odnosił się z ogromną

miłością i uważał go za sakrament uzdrowienia, którego osobiście doświadczył podczas pobytu w szpitalu, gdy jego stan zdrowia wyraźnie się poprawił po przyjęciu świętego namaszczenia. W liście do ks. Czyżewskiego Jacek dał świadectwo bliskości ze Zbawicielem w sakramentalnym spotkaniu w następujących słowach: „Chrystus towarzyszy mi codziennie i że mogę Go wręcz dotknąć, tak jak dotykałem Go już kilka razy w sakramencie chorych, gdy byłem uzdrawiany w sposób po prostu cudowny”. Krawczyk przyjmował kilka razy ten sakrament, gdyż w poszczególnych etapach choroby następowały pogorszenia stanu zdrowia, a pacjenta czekały nowe interwencje chirurgiczne i uciążliwe chemioterapie. Wracając do tej kwestii, w różnych listach podkreślał on wagę wydarzenia sakramentalnego spotkania z Chrystusem uzdrawiającym chorych. Księdzu Nagórnemu w liście z grudnia 1990 roku przedstawił to tak: „Przyszedł kapelan i widząc, że jestem w skrajnym stanie, zaproponował mi sakrament chorych. Odparłem, że przyjąłem ten sakrament w dniu operacji (miesiąc wcześniej), ale to przecież w niczym nie przeszkadza. I tej nocy zacząłem zdrowieć”.

Wypowiadając się na temat znaczenia namaszczeniach chorych, młody teolog z Lublina ukazywał swą głęboką wiarę w działanie Chrystusa i zarazem wielkie pragnienie doznania łaski. W liście do rodziców, pisanym w Katowicach w marcu 1991 roku, zawarł słowa: „Sakrament chorych, to nie ostatecznie namaszczenie a pomoc choremu (który oczywiście od razu czuje się lepiej), stąd uważałem, że skoro ostatni raz modlono się nade mną we wrześniu, to najwyższy czas, by ktoś znowu się zlitował”. W rozważaniu Triduum Paschalnego podkreślił znaczenie miłości, której doznaje chory ze strony dotykającego go Chrystusa. „Nie sposób także i tu opisać tego wszystkiego, co dzieje się między

chorym a Zbawicielem w sakramencie chorych. Nie da się ukryć jednak, że Chrystus naznaczył swą sakramentalną obecność w tym znaku szczególną mocą. Można by się pokusić o stwierdzenie, że Jezusowi jakby szczególnie zależało, by Jego ziemską działalność uzdrawiania chorych była dalej kontynuowana. Można z całą pewnością powiedzieć, że miłość Chrystusa do chorych została w pełni przelana właśnie w tym sakramencie”.

Mając bardzo dobrą opiekę duszpasterzy podczas swej choroby, Jacek był bardzo wdzięczny za taką uprzywilejowaną pozycję. Wyznawał to w listach do rodziców, opisując im swoją sytuację w Katowicach, gdzie opiekował się nim franciszkanin, o. Tyberiusz, który też poprosił rektora franciszkańskiego seminarium w Panewnikach, by z Komunią świętą do Jacka mogli przychodzić diakoni. Dziękując swoim doświadczeniem choroby, którą uważał za największą łaskę, napisał tekst rozważań, w których ukazał swoje przekonanie o bliskości Chrystusa z człowiekiem cierpiącym, ujawniającej się i potwierdzającej w sposób szczególny w sakramencie namaszczenia chorych.

Młodzieńcze marzenia o kapłaństwie służebnym sprawiły, że Jacek bardzo interesował się tym stanem życia i często rozważał ten rodzaj powołania. Na ten temat napisał kilka tekstów w czasie szkoły średniej oraz odwoływał się do pozytywnych przykładów księży w ramach szkolnych wypracowań na zakończenie poszczególnych lat katechezy. Ponadto w pracy pisemnej, podczas egzaminu wstępnego na teologię w Lublinie, odnosił się do osób duchownych. Na studiach teologii z natury rzeczy spotykał się z licznymi kapłanami na uczelni i nawiązywał z nimi serdeczne relacje. W sposób szczególny jednak doznawał życzliwości kapelanów szpitalnych, spośród których wyróżnił jednego, który posługiwał w szpitalu onkologicznym w Krakowie. Jacek wystawił mu bardzo pozytywne świadectwo w następujących słowach:

„Wieczorem przyszedł kapelan, ojciec kapucyn, bardzo skromny ojciec (tak skromnego człowieka jeszcze nie widziałem). Był codziennie razem z Mistrzem i po tym obchodzie wracał jeszcze do mnie na pogawędkę. Odwiedzał mnie codziennie - wiedział, że studiuję teologię”.

Teolog z Palikówki kochał kapłaństwo i bardzo cenil służy ołtarza. Wyrażał to na wiele sposobów. Miał to szczęście, że na swej drodze spotykał wspaniałych duchownych, którzy pomagali mu wzrastać w wierze. Będąc osobą krytycznie myślącą i trzeźwo oceniającą świat, widział też inne przykłady realizacji powołania, ale nigdy nie zdarzało mu się negatywnie mówić o duchownych. Jacek, osobiście nie przyjmując sakramentu kapłaństwa, stał się jednak dla innych apostołem, przewodnikiem duchowym i żertwą ofiarną, składającą siebie w duchu zadośćuczynienia i wynagrodzenia za innych. W sposób wybitny i wyjątkowo owocny realizował on swoje kapłaństwo powszechne na mocy chrztu świętego. Jego zapal misyjny i wielkie poczucie odpowiedzialności za drugiego człowieka sprawiało, że jego serce łączyło się z Sercem Najwyższego Kapłana Jezusa Chrystusa w dziele przekonywania świata o nieskończonej miłości Ojca niebieskiego. Kwestie /wiązane z sakramentem małżeństwa zasługują na oddzielne opracowanie, które zostanie podjęte w innym miejscu niniejszej książki.

Rozumienie przez Jacka Krawczyka sakramentów było na wskroś katolickie, wierne Kościołowi, ale też bardzo egzystencjalne i konkretne. Dla niego liczyło się nade wszystko realne spotkanie z Chrystusem, który przychodzi do człowieka wierzącego w sakramentalnych znakach, by okazać mu miłość podtrzymującą nadzieję

i uzdrawiającą duszę i ciało. Dlatego w rozważaniu *Drogi krzyżowej*, odnosząc działanie sakramentów do sytuacji człowieka cierpiącego, student z Palikówki napisał: „Na tę miłość chory może niezawodnie liczyć ze strony samego Chrystusa. To On staje na naszych drogach, w tych, którzy się nami opiekują, a w sposób szczególny w sakramencie Eucharystii, pokuty, czy w końcu w sakramencie chorych. To ten sam Chrystus, który przed laty nauczał, uzdrawiał i cierpiał, staje teraz obok nas”.

MAŁŻEŃSTWO Z EWĄ

Posługa na rzecz potrzebujących nie przeszkadzała lubelskiemu studentowi w dążeniu do stworzenia domu, w którym mógł się cieszyć miłością ukochanej żony. Kiedy odkrywszy swoje powołanie do małżeństwa, zdecydował się na narzeczeństwo z Ewą, zaangażował w ten związek całe swe serce. W listach do wybranki serca wyrażał ogromne zakochanie i romantycznie wyznawał: „Jesteś jedyną prawdziwą radością mojego życia! Jesteś moim światłem, słońcem, ciepłem. Bez Ciebie ginę jak roślina wyrwana z ziemi i rzucona na żar pustynnego słońca”.

Wznosząc się na fali zakochania, pisał do niej: „Chciałbym usiąść, na przykład o tej porze, gdy za chwilę wszystko będzie budzić się do życia, więc chciałbym usiąść u Twoich stóp i czytać Ci wiersze, a potem patrzeć na wschód słońca, na ciemnożółtą kulę, która w otoczce mgły, lub oprawie tęczy rośnie i unosi się”. Ewa przypominała mu jednak, że chciał podziwiać z nią wschód słońca, siedząc na dachu, co mogło się źle skończyć. Czasami był tak zajęty myśleniem o ukochanej, że „zapominał o Bożym świecie”. W jednym z listów opisał taką sytuację: „Topiłem masło w rondlu. W tym momencie pomyślałem sobie o tym, jak mógłby wyglądać nasz dom. Przez moment wydało mi się, że jesteś gdzieś obok. No i odleciałem myślą do Ciebie. A potem był zapach palonego masła”.

Ewa była powierniczką jego poszukiwania pogłębionych odpowiedzi na niepokojące pytania i rozterek wobec wyzwań życia, które zdawało się go przerastać. Jej też zwierzał się ze swoich marzeń i dzielił się nadzieją na pokonanie kolejnych

trudności. Nietypowo i zarazem bardzo pięknie brzmią stwierdzenia młodego studenta, który do swej narzeczonej nie pisze o rzeczach banalnych, ale podejmuje kwestie metafizyczne, dotyczące spraw najwyższej wagi. Nie jest to jednak jakieś marzycielskie filozofowanie, ale osadzony w konkretnej rzeczywistości głęboki namysł nad życiem, który za wszelką cenę pragnie uchwycić jego sens i najpełniej odpowiedzieć na rozpoznaną miłość.

Planując wspólne życie z ukochaną kobietą, Jacek realistycznie patrzył w przyszłość i rozważał sposoby zapewnienia utrzymania nowej rodziny. W liście z 2 kwietnia 1988 roku pisał: „Skromnie, ale nie w biedzie będziemy żyć. Ja znam masę różnych sposobów zarabiania na życie. Ważne jest, by łączyła nas gorąca miłość. (...) Ja muszę myśleć w kategoriach «my». Właśnie dlatego tyle mówiłem Ci o moich planach. Bardzo bym chciał, byś napisała co o nich myślisz. Naprawdę chcę pracować dla ludzi, ale na pierwszym planie jesteś Ty”. Cieszył się, że podczas pracy w pogotowiu zaczął otrzymywać wynagrodzenie, które pozwalało mu zaprosić narzeczoną do kawiarni. Jednak wskazywał jej, że najważniejsza jest miłość, która ich połączy na wieki. W jednym z listów napisał: „Najdroższa! Mogą być chwile, gdy na nasze spotkanie przyjdę ze stokrotką zerwaną z trawnika! Tak może wyglądać nasze życie!”. Nie stawiał bowiem bogactwa na pierwszym planie, ale podkreślał konieczność budowania wzajemnej więzi osób, o której w trakcie zajęć z teologii moralnej uczył się jako o dążeniu do budowania *communio personarum*.

Pragnienie uszczęśliwienia Ewy było dla Jacka motywacją do pracy nad swym charakterem i przynagleniem do sprawienia, by mogła przy nim czuć się bezpieczna. „Cały mój rozlatany, zagoniony i nie- zorganizowany tryb życia muszę zmienić. Piszę

muszę, bo choć Ty nigdy mi niczego nie kazałaś robić, to przecież nie mogę pozwolić na to, byś i Ty tak wariacko żyła”. Z troski o swą ukochaną pisał w liście do niej: „Dzielę z Tobą Twoje smutki i cierpienia, tak samo, jak radości. I bardzo bym chciał, byś w chwilach trudnych mogła się o mnie oprzeć. Chcę byś pamiętała, że jest jeszcze moja modlitwa, pomocna dłoń, gotowa w każdej chwili do działania, mój stan czuwania, by nieść Ci pomoc, gdy tylko tego będziesz potrzebowała... Chcę Twojego szczęścia i wszystkiego, czego Ty pragniesz, byśmy oboje szli w blasku Pana, byśmy oboje budowali naszą miłość w Jego obecności... Bardzo bym nie chciał, by stała Ci się jakaś krzywda! To co mówię, to nie nadwrażliwość, ale życie. Proszę uważaj na siebie!”. Łącząc swoje szczęście z Ewą, Jacek opierał je na zawierzeniu Bogu, który stanowił źródło jego nadziei. To głębokie przekonanie wyraził w słowach: „Ja wielu rzeczy nie rozumiem, ale wiem jedno: Ciebie dał mi Bóg, a skoro On jest przy nas, ja nie boję się już niczego, żadnego trudu, zadania i cierpienia”.

Jacek zareczył się z Ewą i planując zawarcie sakramentalnego związku małżeńskiego na 18 sierpnia 1990 roku w Katowicach, zgodnie z ówczesnymi wymaganiami prawa polskiego, w maju tego samego roku zawarli kontrakt cywilny w Urzędzie Stanu Cywilnego w Katowicach. Krawczyk nie chciał świątecznej oprawy tego wydarzenia, by nie przysłaniać uroczystości udzielenia sobie sakramentu małżeństwa w kościele. Nie zaprosił na tę okazję nawet swoich rodziców. Jednak zebrano się trochę krewnych i przyjaciół z Katowic, którzy sprawili Ewie i Jackowi niespodziankę i wszyscy spotkali się na świątecznym obiedzie. Spędzając wakacje w Palikówce, Jacek na początku lipca poczuł się źle i udał się do lekarza w Rzeszowie. Diagnoza okazała się

bardzo niepokojąca, gdyż lekarze stwierdzili zajęcie grasicy przez złośliwy nowotwór, który był już w zbyt późnym stadium rozwoju, by mogła być szansa na jego wyleczenie.

Po uzyskaniu potwierdzonych wyników badań lekarskich, gdy zdał sobie sprawę z powagi swego stanu zdrowia, Krawczyk napisał list do swojej narzeczonej, w którym wyznawał swoją miłość i zarazem wyrażał pragnienie, by Ewa zachowała wolność w swej decyzji. „Nie wiem, co dalej ze mną będzie, bo może się okazać, że zostało tylko parę lat (trzeba brać najgorsze możliwości pod uwagę), ale chcę byś decyzję o ślubie podejmowała w sposób zupełnie wolny. Nie chcę byś czuła się w jakikolwiek sposób przymuszona, np. ślubem cywilnym. Bardzo trudno jest mi to pisać, ale jedynie Twoje szczęście się dla mnie liczy. Bogu będę dziękował jeśli pozwoli mi wrócić do pełnego zdrowia. Jeśli jednak okaże się, że czas mój jest już policzony, to pamiętaj, że raz jeszcze możesz powiedzieć *tak* lub *nie*. To bardzo ważne dla mnie. (...) Pisałem o wyborze, ale ja bardzo pragnę, byś została moją żoną. Nie odbierz tego co napisałem, źle. Jesteś moim największym marzeniem. Tamte słowa napisałem, bo nie chciałbym być kiedyś ciężarem dla Ciebie”.

W zakończeniu swego listu do ukochanej napisał: „A śmierci boję się tylko dlatego, że mogę utracić Ciebie najdroższa.

Kocham Cię i proszę o modlitwę”. Wracał do tej myśli w innym liście, gdy napisał: „Wiele razy mówiłem dość spokojnie o śmierci. Ale teraz, gdy sam stoję przed niewiadomą, nie mam siły na walkę. Teraz boję się śmierci, ale nie dlatego, że jest utratą życia, lecz dlatego, że tracę Ciebie. Wbrew wszystkiemu, bo nowotwór, to przecież najgorsza ewentualność, nie mogę oderwać się od tej myśli”.
Mimo braku sił

i poczucia ogromnej bezradności, Jacek wciąż żywił nadzieję i - pragnąc żyć - planował wspólne życie z Ewą. „Wiesz, jeżeli wyjdę z tej choroby, to tak jak Ty, chciałbym byśmy jak najszybciej mieli dzieci. To nic, że musiałbym jeszcze studiować. Znajdę sobie jakąś pracę

i postaram się nas utrzymać. Nie będziesz musiała pracować... Nie martw się! Ale to na razie tylko marzenia”. Ogromna tęsknota i pragnienie bliskości ukochanej osoby były tym, co podtrzymywało jego nadzieję: „Wiesz, czasem zapominam o chorobie, wchodząc w marzenia o naszym wspólnym domu, o powrotach z pracy, o wspólnych obiadach, kolacjach, o tym jak śpiewam dzieciom piosenki na dobranoc. W tym momencie pomyślałem o tym, jak mógłby wyglądać nasz dom. Przez moment wydawało mi się, że jesteś gdzieś obok”.

Miłość do Ewy była jego ukojeniem i, myśląc o niej, pomnażał motywację do walki o życie i zdrowie. Pisał z ogromną czułością: „Ty jedna sprawiasz, że moja ciągle o coś zatroskana twarz jaśnieje uśmiechem. Ty jedna potrafisz to sprawić!”. Tym, co ich rozdzielało przestrzennie, były Jackowe pobyty w szpitalu w Kielcach, Krakowie oraz Katowicach. W jednym z listów, ogromnie tęskniąc za swoją ukochaną i będąc wycieńczonym uciążliwymi badaniami i bolesnymi interwencjami medycznymi, Jacek napisał: „Jeśli wiem, że to co robię ma sens w Twoich oczach, to niczym jest to, co mnie męczy i nuży”.

Młody narzeczony był bardzo dojrzały w chrześcijańskim rozumieniu powołania do tworzenia nowej rodziny. Jacek chciał być oparciem dla swej przyszłej żony. Uczył się formy miłości, w której przewycięży swoje patrzenie na świat - jak o tym napisał, by „znaleźć nasze stanowisko, a nie tylko na zmianę sobie ulegać (choć czasem jest to jedyne wyjście)”. Podjął na poważnie

zadanie, by stawać się jedno ze swoją ukochaną. Jeszcze przed ślubem, w dniu 7 sierpnia 1990 roku napisał do Ewy: „Bardzo mi zależy, byś umiała mnie ubogacić mówiąc, że Ty myślisz w tej, czy innej sprawie inaczej. Byś była otwarta także na spór. Tu nie chodzi o kłótnię. (...) Oboje musimy mieć własne zdanie, albo oboje też musimy być otwarci na siebie nawzajem. Jeśli tak nie będzie, to stworzymy kłótnię i nie osiągniemy nic. (...) Bardzo bym chciał, byśmy razem tworzyli coś, co będzie nasze i czego zawzięcie będziemy bronić, ilekroć ktoś będzie temu zagrażał”.

Tak piękna miłość dwojga młodych studentów teologii KUL miała swój dramatyczny moment, gdy wyznaczony na 18 sierpnia 1990 roku w kościele w Katowicach ślub kościelny nie odbył się, bo Jacek dzień wcześniej poczuł się gorzej i pozostał w szpitalu w Nowej Hucie. Ewa przyjechała do Krakowa i w kaplicy szpitalnej dnia 1 września 1990 roku, w obecności kapłana jako urzędowego świadka, udzielili sobie z narzeczonym sakramentu małżeństwa. Po dwudziestu sześciu latach Ewa, wspominając to wydarzenie, stwierdziła, że nie traktowała tego jako czegoś heroicznego, bowiem kochając się nawzajem, nie wyobrażali sobie, że któreś z nich mogłoby odmówić stanięcia obok ukochanej osoby i położyć na szalę wszystko to, czym byli i co mieli.

Więź z żoną Jacek przedkładał ponad relacje z rodzicami i mimo lepszej opieki zapewnionej w domu rodzinnym, zdecydował się zamieszkać w wynajętym mieszkaniu w Katowicach, by być razem z Ewą. W miarę możliwości spełniał domowe czynności i starał się zapewnić swej żonie poczucie bezpieczeństwa, okazując jej zaufanie i miłość. Źródłem tej miłości był Bóg, co Jacek, jeszcze jako narzeczony, wyznał w liście do Ewy: „Ciebie dał mi Bóg, a skoro On jest przy nas, ja nie boję się już niczego”. Jego żona,

podsumowując prawie roczny okres ich małżeństwa, napisała:
„Nasz dom funkcjonował normalnie. Razem staraliśmy się go
zagospodarować”.

DUCHOWE DZIEDZICTWO

Człowiek będący na ziemi przechodniem i pielgrzymem pozostawia ślad, który przypomina o jego istnieniu i wywiera wpływ na następne pokolenia. Najbardziej istotnym elementem osobowego dziedzictwa duchowego jest przykład życia wypełnionego miłością, które potwierdza prawdę, że człowiek nie inaczej osiąga swoją pełnię, jak tylko przez szczerą dar z siebie. Jacek Krawczyk, przeżywszy na ziemi niecałe 25 lat, osiągnął szczyt człowieczeństwa, do którego konsekwentnie zmierzał, pragnąc od młodości żyć na maksimum swoich ludzkich możliwości. Przykład życia tego młodzieńca z Palikówki wzbudza nadzieję w ludziach, którzy zapoznają się z jego postacią, że można wśród trudności

i niepowodzeń zachować pokój ducha i osiągnąć szczęście. W istocie szczęściem jest bowiem to, co jest tak piękne i zarazem dobre, że prowadząc człowieka do maksymalnego wykorzystania jego potencjału, warto jest tego, by być wpisane do księgi życia Boga żywego. Jacek, będąc tak przystępnym i otwartym człowiekiem na braci i siostry, kochał ich jednak miłością zakorzenioną w Bogu. To bowiem od Chrystusa czerpał natchnienie i siłę oraz zbliżał się do Niego przez wiarę i sakramenty, ukazujące swoją owocność w ofiarnej służbie z miłości.

Jacek Krawczyk zmarł 1 czerwca 1991 roku w szpitalu onkologicznym w Krakowie i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Strażowie, do której to parafii wówczas należała wieś Palikówka. Na pomniku nagrobnym umieszczono zdjęcie z legitymacji oraz napis: „Jacek Krawczyk student KUL. Ukochany mąż, syn, brat, wnuk⁵⁵.”

Podano też datę narodzin i śmierci: „*16 sierpnia 1966 r. — 11 czerwca 1991 r.”. Na dole wyryto słowa: „Stoję przed tajemnicą swojego życia i wielu rzeczy naprawdę nie rozumiem. Ale ufam Temu, który mnie prowadzi”, stanowiące cytat z listu Jacka do Ewy z 10 czerwca 1988 r. Pogrzeb świątobliwego studenta zgromadził wielu uczestników, wśród których - obok rodziny i sąsiadów - było wielu księży, w tym profesorów z KUL. Przybyli też wszyscy koledzy i koleżanki, z którymi Jacek studiował teologię w Lublinie. Wielu ludzi już wtedy wyrażało przekonanie o świętości tego niezwyklego świadka wiary.

Jego duchowe dziedzictwo obok zrealizowanej świętości obejmuje też fundację jego imienia, książkę zbierającą świadectwa osób, które spotkały Jacka oraz dzieła dokonane przez ludzi inspirujących się jego przykładem. Podczas drogi do Strażowa, na pogrzeb i z powrotem, ks. Nagórny wraz z innymi osobami z KUL rozmawiali

o zmarłym studencie. Jedna z osób stwierdziła, że Jacek zostawił wśród ludzi tak bardzo znaczący ślad, że warto to jakoś utrwalić. Ks. Janusz zapalił się tym pomysłem i ułożył plan działania, przewidujący podział ról w zbieraniu i redagowaniu świadectw o tym niezwykleym człowieku z Palikówki. Ilość zebranych wspomnień i informacji, w tym listów i notatek Jacka, była tak duża, że przerosła ramy artykułu i znalazła swe miejsce w książce zatytułowanej *W pół drogi*. Jej redaktorami byli ks.

Nagórny i ks. Piotr Kieniewicz MIC.

Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1993 i zostało sfinansowane przez rodziców Jacka. Trzecie wydanie, w lubelskim wydawnictwie „Gaudium”, które miało miejsce już po śmierci ks. prof. Nagórne-go, zostało uzupełnione o wywiad wcześniej z nim przeprowadzony w lubelskim archidiecezjalnym radiu eR przez

ks. Kieniewicz i Katarzynę Wiącek. Nakład trzech wydań osiągnął 11 tysięcy egzemplarzy. Książka docierała do różnych środowisk, w tym do szpitali

i do osób chorych cierpiących w swoich domach. Wywierała wielki wpływ na czytelników, którzy byli urzeczeni niezwykle pięknym świadectwem świętości Jacka. Obok świadectw i tekstów Krawczyka, w publikacji znalazły się też fragmenty listu apostołskiego Jana Pawła II o chrześcijańskim sensie cierpienia *Salvifici doloris*.

O szersze zainteresowanie książką *W pot drogi* dbał ks. Nagórny, który wiele razy mówił o postaci Jacka na antenie Radia Maryja oraz w licznych konferencjach, kazaniach i rekolekcjach. Wielkie zasługi w propagowaniu książki mają ks. Edward Moskal, proboszcz ze Strażowa oraz ks. Grzegorz Wojnar pochodzący z tej parafii. Jedną z osób, która, zachwyciwszy się postacią studenta Palikówki, na wszelkie sposoby pomnaża i wspomaga jego duchowe dziedzictwo, jest ks. Stanisław Hareźga, który jako rektor WSD w Przemyślu zaprosił państwa Krawczyków z prelekcją o ich synu skierowaną do alumnów seminarium. W 1994 roku w rzeszowskim Radio Via została wyemitowana audycja Marii Fajgier z czytаныmi tekstami *Drogi krzyżowej* napisanymi przez Jacka, co przyczyniło się do nagłośnienia postaci Jacka i książki o nim.

Fundacja imienia Jacka Krawczyka została założona przez Annę

i Tadeusza Krawczyków aktem notarialnym z dnia 17 grudnia 1992 roku i zarejestrowana przez sąd w 1993 roku. W celach statutowych zostały wyliczone następujące działania: niesienie pomocy społecznej świeckim studentom Wydziału Teologii KUL znajdującym się w trudnej sytuacji materialnej; publikowanie i

rozpowszechnianie książki *W pół drogi* oraz uwrażliwianie młodego pokolenia na problemy ludzi potrzebujących pomocy. Przez 26 lat działania fundacji zebrano, dzięki bezinteresownej pracy Anny i Tadeusza Krawczyków oraz ich syna Marcina z rodziną, ponad 220 tysięcy złotych, z których ufundowano 78 stypendiów dla osób studiujących teologię na KUL. Bardzo cennym efektem pracy założycieli fundacji jest olbrzymia korespondencja, obejmująca setki listów osób piszących do rodziców Jacka, którzy dzielili się wrażeniami i świadectwami z inspiracji, jakie otrzymali dzięki lekturze książki *W pół drogi* oraz podziękowaniami za świadectwo życia ich syna.